



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Od czegoż zacząć kronikę poświęconą, jeżeli nie od świąt?... były, przeszły, śladu po nich wkrótce nie zostanie. Przyniosły na prima *Aprilis* trochę wiosny i zabrały ją znowu.

Zamiast śniegów, mieliśmy śnieg, zamiast Kwietnia—Grudzień; tak ciężko tej zimie rozstać się z nami, a zdawało się, żeśmy ją pożegnali i zażegnali nareszcie.

Wróciła, aby jeszcze raz wyszczerzyć do nas swe białe zęby; jeszcze w Maju gotowa niespodzianie wyrzucić z jakiego kąta.

Przewróciło się coś stanowczo w naturze.

Wraz ze śniegiem marcowym, wróciła marcowa powódź; ustatkowała się trochę Wisła, za to Warta, Bug, Narew i inne rzeki szaleć zaczęły. Hiobowe wieści przynosił telegram, dzień za dniem. Tak rozległych i tak licznych wylewów nie pamiętają najstarsi ludzie.

Straty obliczają na miliony; kto to zwróci, kto szkody wynagrodzi?... bieda gniecie i u góry; i u dołu. Jedni drugim muszą pomagać, ale wszystkim coraz ciężej i ciężej.

Tak mi się sprzykrzyło śpiewać ciągle jedne i te same jeremiady na temat znany, że już chyba machnę tylko ręką, głowę odwrócić, splunąć po chłopsku na: „szczęśnij biedo!“ i nic więcej nie powiem.

Co to warto narzekać; ty swoje, a los swoje. Nie przegadamy się.

Największą sztuką, ale i najpotrzebniejszą w tych czasach jest: być cierpliwym. To wprawdzie bardzo banalna pociecha, że „lepiej będzie, skoro złe minie“, ale znajdźcież coś innego na jej miejsce, jeśli potraficie.

Miałem kiedyś w szkołach kolegę, okropnego biedaka, któremu się nic w życiu nie szczęściło; mieszkał kątem, żywił się po całych dniach bułkami i herbatą, a często tylko chlebem i wodą. Chodził w pożyczanych koszulach, kołnierzyki robił sobie z papieru, a dziurawe buty zaszywał igłą i czarnymi niemi.

Do swojej biedy tak się przyzwyczaił, że z humorem niemal ją znosił.

— Wiesz co—mówił mi nieraz z uśmiechem—mnie się zdaje, że gdybym z moim szczęściem został był kapelusznikiem, to ludzie zaczęliby się rodzić bez głowy.

Otóż ile razy go coś złego spotkało, zastanawiał się: czy nie mogłoby to było wypaść gorzej?—i zawsze z tą filozofią dochodził do pocieszającego wniosku, że jeszcze nie było mu tak źle.

— Pan Bóg ma więcej złego, niż rozdał—powtarzał przy każdej sposobności, — a licza nie trzeba drażnić.

Przedmiotem jego podziwu był Lear Szekspira; scenę podczas burzy umiał całą na pamięć i z dziwną jakąś tragi-komiczną rezygnacją, która nie licowała z pathosem prześladowanego króla—waryata wołał, jak on, gdy nad głową mu burza szalała:—„Lej, ja wytrzymam!...“

Ale uśmiechał się przy tem, zamiast łzy ronić.

I cóż powiecie, dzisiaj tryumfuje nad losem; dorobił się mająteczku małego, żyje dosyć wygodnie bez troski i kłopotów, a wspominając dawną, szkolną biedę, mówi mi zawsze przy spotkaniu:

— Powiadam ci, mogło być o wiele gorzej; nie skarż się nigdy w życiu, dopókiś nie umarł, a jeszcze i śmierć śmierci nie równa. Przy każdym złem jest jeszcze jakaś cząstka dobrego, której człowiek nie powinien lekceważyć i pomijać, jeżeli nie chce wpaść w ostateczny pesymizm i rozpacz.

Przyznaję się, że mi często jego słowa przychodzą na pamięć i rozpogadzają mi umysł; powiadam sobie: „Cicho bądź, nie narzekaj, nie szemraj, może być gorzej...“

Wprawdzie takie godzenie się z losem ma niebezpieczeństwo w sobie powolnej abnegacji ze wszystkiego, ale nie trzeba go w tym duchu rozumieć, aby z pokorą skłaniać kark pod wszystkim ciosy i przyjmować je z zupełnym poddaństwem; nie trzeba tylko ulegać im i dać się niemi ogłuszać.

Zadne zło nie jest wiecznotrwałem.

* * *

Mam garść nowin przed i poświęconych, którymi muszę wypełnić ten wielkanocny przekładaniec, nazwany kroniką.

O samych świątach nie wiele da się powiedzieć; pielgrzymka do Bożych grobów była w tym roku liczniejszą, niż kiedykolwiek, bo piękna pogoda sprzyjała.

Tradycyjne święcone gromadziło przy gościnnych stołach ludzi sobie życzliwych wzajemnie; wystawności i zbytków unikano z konieczności.

O biednych pamiętano po ochronach i przytulcach.

Na Ujazdowie ludek się bawił, jak co roku, z jednakową fantazyą i jednakową bezmyślnością. Wszystko zatem było w porządku.

Nowalijką świąteczną był „Demon“ p. Żmurki, którego artysta pomieścił na wystawie obrazów w Salonach Krywulta od drugiego dnia Wielkanocy.

„Demon“—to w pojęciu swego twórcy—kobieta piękna, pełna, zdrowa, obnażona do pasa, stąpająca po marmurowej posadzce wśród rozsypanego złota i klejnotów.

Od pasa po stopy okryta jest futrem o axamitnym, wiśniowego koloru wierzchu, jedną ręką przytrzymuje tę szubę, drugą zdaje się wyciągać

niezdecydowanym ruchem niewiadomo po co i do kogo. Może tylko chce pokazać swoje zgrabne paluszki o starannie przykrojonych i ostrych paznogiach, które zastępują u niej pazurki i chce dać do poznania, że miałyby czem drapać w danym razie.

Drapieżnego wszelako niema w niej nic więcej, oprócz paznogieć; ciało pulchne, dobrej tuszy, kształty okrągłe tą okrągłością nieco spasionych osób, twarz zimna, obojętna, oczy z pod rubej grzywki wypatrzone bez myśli i bez wyrazu, raz z jakąś obojętnością sfinxa, który sam jest zagadką. Zresztą głowa lalki woskowej, bardzo ładnej lalki, przed którą na wystawie fryzjera, stawałyby tłumy z podziwem.

Ale gdzie ten demon, gdzie ta demoniczna potęga, która podbija, rozbraja, kusi i gubi?... chyba w tej apatyj, połączonej z cyniczną kokieteryą pięknej kobiety, chyba w tym zmysłowym kulcie ciała bez duszy.

Takie kobiety, jakie p. Żmurko przedstawia, nie bywają demonami w właściwym znaczeniu tego wyrazu; brak im namiętności, temperamentu, życia, mają tylko formę mniej więcej piękną, ale formę bez treści, wyglądają na zimne kokietki, których główną cechą charakteru jest bierność i chłód.

Można przejść koło nich i nabawić się kataru, pomimo wszystkich ich zakrytych i odkrytych wdzięków.

Pisałem obszerniej na tem miejscu o p. Żmurce, bo należałem do tych, którzy talentem jego najwcześniej się zainteresowali i więcej oczekiwali po młodym artyście, niż dotąd dotrzymał. Talent jest rzeczywisty, tego zapoznawać niepodobna, a właściwie dlatęgo, że jest, traktuje się go surowiej, ma się do niego żal za niepoprawne błędy, za lekkomyślność, z jaką w nich pozostaje, mogąc się wyswobodzić zupełnie.

Znać to w „Demonie“ pod względem techniki malarskiej są w nim miejsca godne wszelkiego uznania, ale są usterki karygodne, psujące efekt całości, założonej z pretensją na wielkie dzieło. Pomijam pomysł nie dość jasno i dojrzale pojęty, poprzestając na samej stronie wykonania.

Specjalnością Fr. Żmurki są torsy; Demon może się nim pochłubić; karnacya wyborna, czuć żywe ciało pod pędzlem, plastyka niepospolita, nie jest to więcej jeden z tych anemicznych biustów z mydła lub z wosku, które widywałem na innych obrazach artysty. Widać studia z natury; pod epidermą znać wprawdzie już osadzające się sadelko, ale i krew pulsującą. Za to głowa bez modelacyi, twarz gładko malowana, przypomina oleodruki, a ręce i nogi *per Dominum pstrum* traktowane.

Spieszno było p. Żmurce wypuścić „Demona“ w świat, więc go z pracowni wypchnął o jednym sandale, z drugiego tylko tasiemki na nodze zostały.

Marmur na ścianie i kolumnadzie nie pochodzi z kopalni, to nie kamień; co najwięcej stiuk, pędzlem lakiernika żyłkowany. W hotelu europejskim, gdzie p. Żmurko ma pracownię, stoją takie same kolumny z fałszywego marmuru, może one za model służyły.

Szuba futrzana dobra, nawet dla oka... kuźnierza. Kotara, posadzka, złoto pod nogami, perły, jako akcesorya malowane po dekoracyjnemu, pospiesznie, *à la minute*.

Obraz mimo to sprawia wrażenie szlachetniejsze od innych płócien p. Żmurki; w kolorycie znać zmianę na korzyść, jest siła tonu, jest harmonja barw:—w karnacyi torsu jest natura i prawda, w całości dużo efektu.

Gdybym był p. Żmurką, wiem, co bym zrobił po przeczytaniu krytyk; najpierw wyirytowałbym się okropnie, nawymyślał wszystkim recenzentom od „zawistnych ignorantów“, potem po niejakiem czasie poszedł na wystawę, przyjrzał się spokojniej swojemu obrazowi, zabrał go do pracowni, zamknął się z nim na trzy spusty i powykańczał wszystko, co pobieżnie tylko naszkicowałem, a co nie jest godnem prawdziwego dzieła sztuki.

Ale p. Żmurko robi co innego; zapomni w tygodniu o Demonie, o krytykach, o życzliwych radach i zabierze się do nowego obrazu, o któ-

rym będziemy po *Kuryerkach* czytali reklamy przed, podczas i po wystawieniu, ale o którym w swoim czasie krytyka znowu będzie musiała powtarzać to samo, co przy każdym nowem dziele artysty powiada:

Panie Żmurko, nie spiesz się pan i wykończaj!...

Quis.

ZYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ III.

Wielcy młodzieńcy.

„Młodość narodu jest jego pełnomocnikiem, któremu powierzona zostaje przyszłość.
Historja bonaterów jest historją młodości.“
Buher.

Młodość jest wiekiem rozwoju i kształtowania się człowieka, wiekiem zapалу, wyobraźni i porywów gorących. Ziarna cnoty, siane w grunt młodości puszczają kielki szlachetnych myśli i zamiarów, które dojrzewają w szlachetne nawyki. Ten którego młodość nie przeszła przez udoskonalającą uprawę serca i umysłu, może spoglądać z obawą, jeżeli nie z rozpaczą, na zbliżający się wiek dojrzały, bo musi on żałować tej młodości wraz z którą opuszcza go jakieś ciepło serca, poczucie i zamiłowanie piękna—odrobina idealności, ginąca dla ludzi takich wśród spraw życia realnych. Southey utrzymywał, że choćby człowiek żył najdłużej, pierwsze lat dwadzieścia będzie mu się wydawać zawsze większą i ważniejszą połową jego istnienia, pamięć o nich będzie mu się rysować w umyśle głębiej i żywiej, niż wszystkich następujących, jakkolwiek wiek życia dojrzały musi być obfitszym w wypadku, które zdają się stanowić o doli i niedoli człowieka.

Ale nie, bo młodość stanowi o człowieku samym, który rządzi tą dolą i niedolą i tu Smiles spotyka się z poetą naszym, który woła:—„Młodość to rzeźbiarka, co wykuwa żywot cały...“

Każdy człowiek zawiera w sobie pewną idealną formę doskonałego człowieka, według danego typu, pomyślanego przez Stwórcę, tak jak każda bryła marmuru zawiera już w sobie posąg, który ma zeń wy dobyć ręka rzeźbiarza. Zadaniem wychowania jest wyprowadzić z głębi człowieka wszystkie szlachetne zarody jego skłonności wrodzonych i ukształtować go w piękną i możliwie doskonałą formę człowieczeństwa.

Wychowanie człowieka, urobienie jego moralnej istoty zaczyna się wraz z życiem, ale nie kończy się z chwilą, gdy kształt dany otrzymanym już został: praca trwa do ostatniej godziny istnienia, bo życie nieruchomości nie znosi i zastój nawet wytwarza zmiany. Zewnętrzność nasza: rysy twarzy, kształty ciała nie zmieniają się do tyła, jak umysł, jak serce. Myśli, pożądania, gusta człowieka ulegają ciągłemu przetwarzaniu i zmieniają się z roku na rok i zadaniami życia, nigdy nieustającym, powinno być, aby z postępem wieku nie przychodziło obniżanie się piękna w naszym kształcie ludzkim, aby linie nie stawały się mniej szlachetnymi, zmieniając się z laty. Powinno to być właściwie wydłużaniem się tych linii w sposób taki, aby nie było to zmianą treści—zmianą charakteru, ale jedynie odmienionym tej treści, tego charakteru wyrazem. Powinien to być ten sam posąg, postawiony tylko pod życia kątem innym, więc ukazujący nam się w innem oświetleniu innych istnienia naszego warunków. Jak od dziecka do młodzieńca, tak od młodzieńca do starca życie przeprowadza człowieka przez łańcuch odmian,

najpierw wzrostu, potem dojrzewania, ustalania się i koncentracji, a stopniowanie to, pozornie nie pochwytnie, jest przecież życiem samem, które nigdy nie stoi, póki trwa.

— „Zkąd raz wyszedłeś już tam nie powrócisz!...“ woła, podobnie jak Smiles, nasz Słowacki a przestroga to ostrzegająca przed daremnem oglądaniem się po za siebie—przed tęsknotami, żałami daremnymi, które już nie wróca, nie oddadzą przeszłości, a zabierają terażniejszość. Bywają przecież żywoty nieszczęśliwe, żywoty dla szczęścia stracone, tak jak to stało się właśnie ze Słowackim, i wtedy pomimo wszystkich nawoływań rozumu ludzie ten żal w piersi nosić będą, ale jest to nietylko sztuką uratowania resztek życia, ale życia tego obowiązkiem, aby nie doprowadziło do samolubnego zatapiania się w melancholji, która przybija nas do krzyża tęsknoty i każe marnieć bezużytecznie. Jeżeli przecież nie występuje do nas z przeszłości zgryzota złego roztrwonienia skarbów młodości, złego marnowania jej sił, można jeszcze dźwignąć się nad ten stan bolesny. Praca, dobrze zapełniająca *dzis*, broni przed takim bezowocnem wyciąganiem rąk za uszłem już *wczoraj* i może wydać plon, przynoszący uspakajenie, zadowolenie ducha łagodne.

Smiles ostrzega również przed innem, a nie mniejszem niebezpieczeństwem: przed forsowaniem życia, zużywaniem go w zapale do wiedzy, zaniedbywaniem obok tego obowiązków uczucia. Przy tak prowadzonej edukacyi życia wyrabiają się małe serca przy wielkich mózgach, choć drugostronnie sumienne rozwijanie inteligencyi naszej i odpowiednie do posiadanych zdolności intelektualnych użytkowywanie jej, jest obowiązkiem nietylko względem nas samych, ale względem narodu i ludzkości. Trzeba pracować nad sobą, trzeba poświęcać sobie tyle czasu, ile go potrzeba na doskonałe wykształcenie otrzymanych od natury darów, pamiętając jednak obok tego, aby serce mieściło się na równej linii z głową, bo dopiero wtedy potęga umysłu naszego rozwinie się w nas prawidłowo i życie mieć będzie zapewnionem sobie wszystkie rozkosze, powstające z harmonijnego użytkowania wszystkich władz istoty naszej. Emerson nazywa je wtedy piękniejszym i ubogaczem w radości wyższe, niż to wymyśleć może jakokolwiek fikcyja romansowa.

Wiek pełnego rozwoju władz umysłowych i dojrzałość myśli a nawet wyobraźni, rozmaicie się objawia. Bakon ostrzega przeciw przed zbyt wczesnem rozwijaniem umysłów, bo wtedy więdną one bardzo prędko, Kwintylian potwierdza to zdanie, które podziela Smiles i przytacza kilka przykładów cudownych dzieci, które potem wyrosły na bardzo miernych ludzi. Przedwczesność umysłowa jest bardzo częstą chorobą: gorączkowem rozbudzeniem organizacyi nerwowej i nadczułością mózgu. Słowa Bakona: „Wóz Faetona spalił się w przeciągu jednego dnia“ odnosi się do takich nienaturalnych rozkwitów umysłowych.

Nauczyciele, a częściej jeszcze rodzice zapominają że właściwą czynnością organizmu dzieciennego jest rość, że mózg nie może bez wielkiej szkody dla zdrowia spracowywać się. Ciało, to jest mięśnie, płuca, żołądek, muszą pierwiej zdrowo i spokojnie ustalić się funkcyjach swoich i dopiero wtedy można zażądać pracy od mózgu, bo organ ten dojrzewa najpóźniej. W młodych latach dzieciństwa trawienie jest rzeczą ważniejszą od myślenia. Wprawdzie ćwiczenia umysłu są potrzebne ale tylko jako wprawa, i karność wychowawcza ważniejszą jest niż nauka, jaką w tym wieku nabyć można. W naszych czasach dzieci są zanadto męczone: tak chłopcy jak dziewczęta zanadto siedzą przy książce, zanadto się uczą, zanadto muszą myśleć i wypowiadać czego się nauczyły. Spracowanie mózgu źle oddziaływa na wyższe jego władze i podkopuje organizm, ztąd przychodzą potem bóle głowy, drażliwość, szczególnie u dziewcząt, osłabienie, wycieńczenie sił żywotnych.

Dzieci są obecnie pozbawione właściwej czynności rąk i palcy, a za to oczy pracują nadmiernie i przestraszający rozwój krótkowidztwa, to

skutek zawczesnego ślęczenia nad książką, nad pisanem. Edukacja nie zasadza się na wprowadzeniu w umysł dziecka możliwie najwięcej wiadomości, ale na wydobyciu z tamtąd najwięcej wyobrażeń i pojęć. *Educere* znaczy wyprowadzać, wydobywać z głębi młodej istoty, ale nie pakować w nią wiedzę, aż do zmęczenia, to jest do przeladowania władz umysłowych. Wychowanie we wszystkich jego kierunkach powinno polegać o ile można najwięcej na wskazówkach, jak dziecko ma używać władz swoich i nie można bez naruszenia harmonii ogólnego rozwoju młodej istoty zaniedbywać potrzebnych ćwiczeń fizycznych, dla nadmiernych ćwiczeń umysłu. Zbytek nacisku na mózg: „over-pressure“ jest zabójczym tak dla umysłu, jak dla ciała. Mózg zmęczony słabnie i nędznieje, brak ćwiczeń ciała podkopuje organizm, bo nie rozbudza jego żywotności, nie rozwija jego sił. Zdawać by się mogło, że rodzice nie myślą o przyszłości dzieci i spieszą się tak z ich nauką, aby zbyć się co prędzej z tego kłopotu, choć wiemy że tak nie jest, że to źle pojęta troskliwość rodzicielska pragnie tylko, aby dziecko ich umieć mogło jak najwięcej. Dla tego zaczynają tak wcześnie, co przecież nic nie przyspiesza, a może wiele opóźnić, jeżeli nie na zawsze pozbawić, bo dziecko udręczone w ten sposób i fizycznie zesłabłe, nie może się uczyć jak powinno wtedy właśnie, gdy wiek nauki przychodzi.

Czy nauka jest dla życia, czy życie dla nauki? Widzimy jak forsowana roślina prędko słabnie, jak kwiat, przedwcześnie sztuką ogrodnika otrzymany, jest krótkotrwałym i kiedy dobry gospodarz nie da zbyt młodo zaprzęgać koni, nie kładzie przedwcześnie jarzma na kark wołów, tylko małości dziecka nie osłania opieką równie troskliwa. Wprawdzie jest to hołd składany przymiotom człowieka, wyższym niżeli siła fizyczna, ale jest w przysłowie zamienione zda nie starej mądrości, że w zdrowem ciele mieszka zdrowa dusza. Przytem można by do tych spostrzeżeń Smilesa dodać zapytanie, ile to rodziców tak dręczy przedwcześnie biedne dzieci swoje z czystej miłości dla nauki, z uznania jej wielkich i szlachetnych pożytków? Jak obecnie w Paryżu matki pudrują, malują małe dzieciątka, tak wiele rodziców, matek szczególnie, z próżności własnej, w miłość rodzicielską wcielonej, przeladowywa biedne główki młode, każe im niemal w kolebce uczyć się mowy obcej, nie myśląc, jak pamięć dziecka potrzebuje pracować ogromnie już nad tem, aby się własnej nauczyć, aby obok zapamiętania nazwy rozpoznać widzialne przedmioty i użytek ich zrozumieć? Dziecko małe, ucząc się żyć w społeczeństwie cywilizowanym, już uczy się niezmiernie wiele i nie należy przedwcześnie dodawać mu jeszcze nienaturalnego ciężaru w postaci właściwej już nauki. Dzisiejsza przedwczesność w zasadzaniu dzieci do książki, do nauki szkolnej pochodzi w znacznej części z troskliwości rodzicielskiej o przyszłą karierę dziecka, o znalezienie sobie zawodu, ale i to ich nie tłómaczy, bo czy może tu być jakaś różnica, stanowiąca o przyszłości, jeżeli rokiem, lub o dwa lata później staną w szrankach współzawodniczących ze sobą pracowników na chleb życia?

Im tu ciężej, im wyścig trudniejszy, tem właśnie większą jest potrzeba siły i ze zdrowia płynącej wytrwałości, zdolności w pracy. Niech rodzice pamiętają o tem—niech pomyślą, że im uciążliwsze są warunki przyszłego losu ich dzieci, tym większym jest obowiązek wychowywania ich na zdrowe, silne duchem i ciałem osoby.

Wtedy każda matka może bez trwogi, bez bolesnego zaleknięcia serca powtórzyć to, co Tańska włożyła w usta dobrej matki, wyprawiającej córkę w drogę życia:

Śmiało Amelio, córka ulubiona,
Oto jest ciężar, lecz ty masz ramiona...

Ramion, ramion zdolnych dźwigać moralne i materialne życia brzemiona—sił ciała obok siły ducha potrzeba młodości, w życie spieszącej,

aby nie ustalała w pół drogi, nie skończyła na wykonaniu tylko pół obowiązku. Wychowanie pod karą grzechu i winy za słabość pokolenia, które przyjdzie po nas pracować i trudzić się do znojnego potu na czole, powinno uposażyć w nie rosnącego pod jej opieką człowieka. W Sparcie przez okrutny wprawdzie, ale głęboko pomyślany stoicyzm, rzucano w przepaść dzieci słabowite, rodzice zaś którzy przez prostotę życia z rozumnym planem wychowania złączoną, sił dziecka nie rozwijają, skazują je na cięższe strącenie w przepaść niemocy—na nędzę ducha i ciała.

Są dzieci, głównie chłopcy wyjątkowo silne, które przetrwają bez szkody denerwujące wpływy przedwczesnego rozbudzania umysłu. Ale potrzeba na to organizacyi wyjątkowych, obdarzonych szczególnie przez naturę i dzieje się tak głównie w zakresie sztuki w której zdolność już jest wyjątkowością, nie ulegającą prawom ogólnem. W muzyce jest najwięcej przykładów cudownych dzieci i to tylko tam, gdzie jest genialność, gdzie jest talent wysoki. Czytelnicy naszego pisma pamiętają może jak Szopen w szóstym roku życia i bez żadnej nauki prócz słyszenia muzyki i widzenia matki, grającej na fortepianie, wygrywał ze słuchu mazurki i krakowiaki, które w obec niego śpiewano, a płakał, łkał ze wzruszenia, gdy słyszał muzykę wyższą.

Był wtedy tak mały, że matka wynosiła go z pokoju na rękach, sądząc, że dziecko tak silnie nienawidzi muzyki, zbyt drażniącej jego system nerwowy, ale dziecina, wyciągała błagalnie ręce w stronę fortepianu. Raz w koszulce tylko wstał wśród zimowej nocy i cichaczem wymknął się do saloniku, a raczej bawialnego pokoju jak wtedy jeszcze wyrażano się czystsza polszczyzną. Nianka, przy której sypiał, poszła za nim ciekawa, czego tam chce? i ujrzała z podziwieniem że siada do fortepianu, aby wygrywać po kolei wszystkie mazury i walce, które wieczorem dnia tego matka grała dla tańczących dzieci starszych i uczniów pensjonatu, której utrzymywał ojciec przyszłego muzyka, Mikołaj Szopen, a raczej Chopin, bo francuz to był wśród kolei życia między naszym społeczeństwem zabłąkany i po części spolszczony. Muzyka obudziła rodziców, obudziła dwie siostry starsze i wszyscy zeszli się, aby słuchać tego nocnego koncertu; szli cichutko, przecież trzeba było wielkiego zatopienia się w grze swojej, aby chłopczyk nie słyszał nic. Że przecież noc była zimowa, a dziecko bosa i tylko w białiznie, matka zbliżyła się do niego: — Chodź spać, aniołku... rzekła mu łagodnie, a on zarzuciwszy jej ręce na szyję, prosił, aby się nie gniewała. Zamierzam, który wyznał, całując matkę, było nauczyć się muzyki, aby ją mógł wyręczyć, gdy zmęczona już grywała jednak dzieciom do tańca.

Zrobić tu można spostrzeżenie że u Szopena miłość sztuki złączyła się z tkliwym uczuciem serca i to razem było źródłem jego gieniuszu od początku do końca.

Miał on wtedy lat sześć i dano mu już zaraz nauczyciela muzyki, Czecha, nazwiskiem Zywny. Wkrótce dziecko zaczęło komponować i Zywny spisywał jego improwizacye, które wydano: mazury i krakowiaki.

Bardzo niedługo potem Zywny wyznał, że nie potrafi już kształcić dalej swego ucznia i powierzone go Elsnerowi, ale i ten uznał że gieniusz dziecka nie potrzebuje nic, prócz kierunku pewnego i nie uczuł go wcale i tylko śledząc polot młodego natchnienia, obznajmiał go z muzyką odpowiednią do jego gieniuszu: — „Jest on z rodzaju orłów... mawiał rodzicom—wskażmy mu tylko przestwory szerokie, obserwując jak się tam wznosi...”

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Pan Roman wracał do domu w bardzo złym humorze. Ukłuty w serce i silnie podrażniony w miłości własnej, mówił sobie że nie powinien już nigdy wracać do Porzecza, bo panna była źle wychowana, egzaltowana, a ów wierny *romans* z jakimś ubogim szlachetką, obrażał go. Nie było też w niej nic szczególnego o co byłoby warto łamać sobie głowę... Tylko oczy i figura, tylko trochę więcej dobrego tonu, niż u innych panien tego zapadłego kąta...

Ale dowodząc sobie tego i lustrując urodę Wandy: przedstawiając sobie te oczy, które wilgotne od łez, podnosiły się na niego niedawno pełne smutku, tkliwości i słodyczy — tę kibić gibką i wysmukłą, układ razem królowny i najwdzięczniejszego, pełnego spokojnej prostoty dziecięctwa, które ogarną ramieniem i przycisnąć sobie do piersi, było by znaleźć się wraju, p. Roman uczył w sercu silnie tam gotującą mu się miłość. Słońce zachodziło właśnie; do Kalinowa jechało się lasami staremi i on raz pierwszy w życiu uczył się poetą i zaczął prawie marzyć, patrzył w dal leśną jak gdyby z pomiędzy prostych, wysokich kolumn pni sosnowych miała mu się ukazać Wanda i spojrzeć na niego łagodnie, skinąć rączką swą małą, a on by wtedy bez namysłu, szalenie, jak pierwszy lepszy chudopacholek wyskoczył z powozu i szedł za nią, szedł choćby na kraj świata, o nic się już z nią nie targując, nie zarzucając jej nic...

W głębi las był podszyty zaroślami różnemi: leszczyną, trzmieliną, po której chmiel rzucał swoje festony, tworząc samorodne altany, a ognista kula słoneczna, zapadła właśnie po za temi gęszczami, i powietrze stawało się całe różowe od tej łuny zachodu, przejęte aromatami ziół leśnych, które wydobywała rosa. P. Roman wrócił też do domu w stanie, jakiego nie doświadczał jeszcze nigdy.

Przechodził z pokoju do pokoju swego obszernego, pustego dworu a z każdej zacięni, które tworzył zmrok, zbliżającego się już wieczoru, wychodziła do niego Wanda, występowała tęsknota serdeczna, to też on, który zaraz za wrotami porzeckiego dziedzińca powiedział sobie, że zapewne nie wróci tu już nigdy, wrócił przecież bardzo niedługo — za dni kilka.

Kiedy już tracąc panowanie nad sobą, zaczął wchodzić w ugodę z przemożną siłą, której raz pierwszy ulegał, powiedział sobie, że przyjmując wiejską modę wizytowania się w święta, pojedzie do Porzecza nie prędzej, aż w niedzielę. Ale było to we wtorek, więc od widzenia Wandy oddzielało go cało dni pięć i — nie wytrzymał...

Przyjechał w sobotę, i już dość późno, bo do ostatniej chwili walczył ze sobą, aż naraz uległ czemaś, czego nie chciał sobie określać. — Cóż u licha... zawołał prawie głośno, zrywając się od biurka, do którego siadł dla przejrzenia jakichś rachunków gospodarskich — czyż ja jestem parobek, któremu nie wolno ruszyć się z miejsca, póki nie odrobi pańszczyzny?... I dla czego mam się kwasić w domu dla śmiesznych względów polityki wiejskiej, abym nie wyglądał na konkurenta? Człowiek nie jest wilk i potrzebuje towarzystwa a to jest jedyny dom przyzwoity w okolicy.

— Tam wszędzie indziej, bogdaj czy w dzień powszedni nie chodzą w łapciach... dodał sobie z humorem, kłamanym dla samego siebie i zadowol. Kazał zaprzęgać.

W godzinę potem znalazł się w Porzeczu i zastał Wandę samą. P. przesyła, kobieta pod

każdym względem praktyczna, gospodarowała na kilku folwarkach tak sprzężycie, jak mężczyzna. Miała kałamaszkę niedużą, którą dojeżdżała wszędzie, gdzie jej obecność było potrzebną i teraz właśnie znajdowała się na polach Porzeckiej Wólki, które podorywano i karcila bardzo ostrem słowem ekonomy, którego sen błogi zmorzył pod olszowym krzakiem.— Co to sobie Wasan myśli, że można darmo chleb mój jeść!... mówiła surowo w chwili, gdy p. Roman wchodził do pierwszego pokoju porzeckiego dworu. W sobotę nikt na wsi gości się nie spodziewa, chyba by to był ktoś z powiatu za interesem urzędowym. Rano służba pofroterowała wszystkie pokoje, dotarła do najmniejszego pyłku kurzu na każdym sprzączie i gzymsie a teraz stary Jan, lokaj jeszcze z kawalerskich czasów nieboszczyka prezesa, wzięty niegdyś do kredensu na służbę wiejski chłopak z Porzeczyszek, a teraz coś w rodzaju marszałka domu, przerachowywał srebro w kredensie i nikt nie słyszał, gdy pan z Kalinowa zajechał, bo stangret trzymający się nowożytnego obyczajowi z bata nie palnął, i z możliwą cichością zajechał po źwirze wysypanej drodze przed stajnie, a p. Roman, niezastawszy nikogo w sieniach również bez hałasu drzwi pierwszego pokoju sobie otworzył i posunął się dalej, gdy stając na progu drugiej komnaty — bawialnego pokoju, po za którym był dopiero salon, ujrzał tam Wandę samotną.

Była w skromnym domowym ubraniu: w bluzce z białego perkalu w drobny rzut muszek czarnych, ujęta w pasie szeroką czarną wstążką. Siedziała na niskiej otomance, którą sobie ku otwartym drzwiom balkonowym przytoczyła; ręce, z których wysunęła się jakaś robota, fryzolit, snute dla ciotki na kołnierzyk, czy czepek, opadły jej na kolana, a wyraz głębokiego smutku i jakgdyby żalu do życia, że było tak ciężkiem i trudnem do znoszenia, odbijał się w regularnych, delikatnych rysach dziewczycy, i p. Roman zatrzymał się na miejscu, przykuty urokiem tego widzenia.

A mógł mu się przyglądać do woli, mógł patrzeć i tonąć wzrokiem w tych wdziękach, w tej urodzie szlachetnej, która go oczarowało za spojrzeniem na nią pierwszym i niegdy nie przestała czarować, nawet wtedy, gdy przeciwko niej bluźnił. — Ach! nie tylko oczy nietylko kibić, która teraz ułożyła się w linie jakiegoś leniwego znudzenia, opuszczenia smutnego, nie mniej przecież, a może więcej niż kiedy powabne, wszystko było piękności najczystszej, śliczności najwdzięczniejszej. Usta: małe, pełne, podobne do pęka granatu, który ma się rozchylić, owal twarzy jak na obrazku, który by przedstawiał Monę Lizę, nóżeczka drobna jak u dziecka, wychylająca się z pod sukni — wszystko tworzyło taką całość, że poeta mógł by był nagle ukłęknąć przed nią, i zawołać: o! najcudniejsza!...

P. Roman gotów był prawie postąpić tak samo, ale Wanda podniosła w tej chwili z kolan opuszczoną robotę i on uczył, że nie wypada mu pozostać dłużej tak zaczajonym, tak podglądającym ją skrycie. Posunął się krokiem naprzód i ona go zobaczyła, podniosła się

On szedł ku niej już też zupajającego wrażenia ochłodnięty, znowu elegancki młody panicz, ale nie mógł wytrzymać długo w tej roli. Za młody był na to i miłość zaczynała burzyć w nim coraz więcej szance nietylko salonowych nawyknień. Nic jeszcze nie wiedział na pewne o stopniu adoptacji Wandy przez prezesową, ale też i nie pamiętał o tem nic w tej chwili — zapomniał, czy takie rzeczy się dzieją, zapomniał że są na świecie panny posażne i nieposażne: zapomniał o wszystkim prócz tego, że Wanda była piękną, aż do tego stopnia, że stracił dla niej głowę.

Ona nie okazała mu niczem niezadowolenia, z powodu iż go widzi, bo też to, co czuła nie było niezadowoleniem, ale raczej smutkiem. Ach!... pomyślała — dlaczego on tu znów jest, pomimo tego, co mu powiedziała?

Zaczęła przypuszczać, że ten człowiek już ją może kocha i tak krąży w koło niej, jak motyl koło płomienia, więc ogarnął ją wyrzut sumienia, że przemówiła za późno. Niedoświadczona, nie wiedziała, że właśnie to jej wyznanie, które ją

tyłe kosztowało, podnieciło uczucie p. Romana, że je rozdmuchało z iskry, która inaczej, nie byłaby może zapaliła się w płomień, albo nie tak prędko i nie tak silnie. Kobieta kocha inaczej, niż mężczyzna — kobieta, jeżeli nie jest zalotnicą, kocha wtedy, kiedy Bóg spuści jej miłość w serce i kocha tak, na jaką moc uczucia ją stać. Mężczyznę — jeżeli to przypadkiem nie poeta — rozogniają, roznamietniają przeskody, obojętność spotkana, i dlatego to kobiety zimne a zręczne, które wiedzą o tem i umieją grać na strunach uczuć mężczyzn, bywają kochane najsilniej, najnamietniej, a najwięcej zawiedzionych, rozdartych serc niewieścich kryje się w piersiach tych, których miłość jest najgłębszą i najstałą — najszlachetniejszą, bo bez przynęty umiejętnego odpychania i przywabiania. Wanda, nieświadoma tego: za wysoka, za czysta aby się znała na tej sztuce przebiegłej, omyliła się i sprowadziła to właśnie, czego się lękała, czego chciała uniknąć...

Pan Roman był upojony jej widokiem, aż do zawrotu głowy. Potrzeba mu było koniecznie choć dotykać czegoś co należało do niej i ustawicznie brał w rękę tę książkę, która leżała na stoliku otwarta, więc była przed chwilą czytana, to robotę którą odłożyła na bok, gdy gość wszedł a która zdawała mu się tchnąć wonią heliotropów, których bukietki miała upięty przy staniku bluzki. Rozmawiali przytem o rzeczach najobojętniejszych, o deszczu i pogodzie, o przypuszczalnych urodzajach a doszli z tego powodu nieobecności prezesowej w domu, do bytności w Porzeczyszkach. P. Roman pytał i odpowiadał, a czy jego błędziły nieustannie koło Wandy: patrzył na jej włosy, na bukietki kwiatów, na suknię, która spływała w draperyach miękkich i wdzięcznych, a ręce bawiły się kłębkami bawełny, którą zwijał i rozwijał, aż ona wcale niewesoła, wcale wizycie jego nierada, rozśmiała się mimowolnie. — Co pan robi z moją bawełną? — zawołała. — Poplątasz ją pan na nierozplątaną...

Czy przy tym uśmiechu, który słodką jej twarz rozjaśnił, ukazała mu się cudniejsza, niż kiedy, czy ta ręka, która wyciągnęła się ku niemu po kłębek nici, stanęła mu nagle na takiej zdradzie, pokusy nieprzewycięzonej, że nie mógł przeprzeć pragnienia ujęcia jej w swoje ręce — wstał bawełnę na stoliku położył, ale za to jej obie ręce pochwylił: — Panno Wando! — zawołał ciśnąc te biedne, drżące rączki w swoich dłoniach gorących — ja tak kocham, że mimo wszystkiego, coś powiedziała, milczeć nie mogę...

— Kocham i na wszystko się ważę... Kocham, jak nikt nie kochał nigdy silniej... — powtarzał, ręką jej nie puszczając i czyniąc ją w ten sposób niewolnicą, zmuszoną stać pod ogniem jego spojrzeń.

Zalękniona była, przestraszona nawet w sposób bardzo bolesny. Rzecz spadła na nią tak niespodziewanie, przedstawiła się w takiej formie namiętej, że ją oblewał rumieniec, że drżała, jakgdyby ten człowiek, mówiący jej słowa tak gwałtowne, mógł ją porwać i zabrać sobie. Pan Roman był wcale nie brzydki: czarnowłosa, płci białej i rumianej, pociągłej, dość regularnych rysów twarzy, z czarną, lekką fryzującą się brodą, miał przytem duże oczy piwne, które teraz palily ją jakimś ogniem płowym, gdy on sam zbłądł silnie ze wzruszenia, z namiętności. U ludzi jego natury miłość, jeżeli jest drażnioną myślą o niewzajemności, o kimś stojącym jej na drodze, wybucha prawie zawsze tak gwałtownie, bezwzględnie, bo płomień, który się w niej pali, jest egoistyczny. Gdyby między nim a Wandą nie było tej przeskody, która ich dzieliła, a która ona stawiała, jak mur nieprzebity, uczucie jego byłoby się objawiło w formie bardzo gładkiej i salonowej — byłby jej powiedział, że ją kocha, biorąc ją delikatnie za rękę i ściskając za ledwie jej paluszki. Byłby oświadczył się prezesowej podobnie, z powagą spokojną, trzymając się form przyjętych i Wanda może dopiero kiedyś, będąc już żoną, byłaby się dowiedziała, co to za natura dzika, gdy podrażnioną zostanie, mieszką w tej piersi pod gorsem koszuli szytej w Paryżu, i zawsze, jak śnieg białej, zawsze bez zarzutu gładkiej.

Teraz przelekła go się prawie, ale trwało to

zaledwie moment jeden. Oczy, które spuściła pod jego palącym ją wzrokiem, podniosły się na niego, jakgdyby smutne i zadziwione, a lekki ruch w tył sprawił, że p. Roman puścił jej ręce, które cofnęła z godnością już spokojną. — Jestem bardzo zmartwioną, jestem bardzo dotknięta tem, com od pana usłyszała — rzekła głosem tak poważnym i smutnym, jak były oczy. — Mówiłam z panem otwarcie, jak panny w moim wieku mówią rzadko. Kosztowało mnie to wiele, bom musiała sięgnąć sobie do głębi serca i, otwierając je przed panem, dotknąć bolesnej jego rany, przecież uczyniłam to wszystko, aby nie była kiedy między nami chwila, jaką przeżyłam... Liczyłam, że mi jej pan oszczędzisz...

— Ależ ja kocham... ja kocham... — zawołał p. Roman, unosząc się znowu namiętnie. Był to wykrzyk egoisty, ale on nie czuł tego, a ona spojrziała nań jakgdyby z żalem nad takim stanem serca, które jest sobie samemu najdroższem. — Usiłuj pan zapomnieć — odparła. — Uważaj mnie pan, jako kobietę, która już nie jest wolna, która już należy do innego...

— A ten inny jest daleko od wszystkich swoich i wszystkiego, co mu jest drogiem — ten inny jest to zatem człowiek smutny, człowiek nieszczęśliwy...

Oczy i lica biednej dziewczyny rozplonęły. Posłała wzrok żalości pełen, jakgdyby gdzieś wdał, jej dusza zdawała się tam lecieć, jak gołębicą spieszącą do swego gniazda i lży perliste polały się z pięknych jej oczu, a p. Roman znów namiętnie pochwylił jej rękę: — Jabym zabił, jabym zamordował tego człowieka, przez którego ty pani płaczesz... — zawołał.

— Nie... — odparła Wanda łagodnie. — Jeżeli jest w panu życzliwe dla mnie uczucie, to mi dopomożesz nieść mój ciężar. Prawda? Będiesz mi dobrym przyjacielem, nie sprowadzisz na głowę moją burzy, której się lękam, że mnie spotkać może...

On stał przed nią posępny. Rola, którą mu przeznaczała, nie leżała w jego naturze, nie rozumiał rozkoszy cichego poświęcenia się dla miłości swojej i żółć burzyła mu się w sercu. Zażdrość dla nieznanego człowieka, dla tego cienia, który stał między nim a Wandą, stawała mu się tą najgorszą nienawiścią, która z zazdrości rośnie. Jak w ogóle wszyscy ludzie samolubni uważał to za prawo swoje, aby nikt nie stanął na jego drodze, nie pytając, czy on nie wchodzi na czyją? I teraz też nie pomyślał nawet, że może być jakaś wina w sięganiu po serce i rękę kobiety, przed którą powinien był tylko skłonić głowę z uszanowaniem i zejść przed nią na stronę, jak to czynili młodzieńcy rzymscy, spotkawszy westalkę.

— Wszak się nie zawiodę na panu? — zapytała znów biedna dziewczyna proszącym głosem. Zależowała go i zarazem żałowała siebie. Miała już wytkniętą drogę swoją, była zdecydowana nią pójść, ale trzeba było na to stargać węzły takie, których się nie rozrywa bez bólu.

P. Roman wyszedł z progów porzeckiego dworu błady. — Jedź prędko — zawołał na stangreta.

Było mu śpieszno uciekać ztąd.

Ledwo, że konie ruszyły, ledwie, że Wanda odetchnęła z głębi ściśniętej piersi, gdy prezesowa ukazała jej się we drzwiach pobocznego gabinetu. Już oddawna była w domu, lecz ujrawszy powóz p. Romana na dziedzińcu, kazała swojemu woźnicy zatrzymać się przed bramą i obszedłszy dom w około, weszła do niego tylnym wejściem, przez garderobę. — Nie trzeba im przeszkadzać — powiedziała sobie z uśmiechem, lecz zaledwie p. Roman zdążył wsiąść do powozu, znalazła się obok Wandy.

— Oświadczył ci się? — zapytała zaraz z progu.

Wanda stała jeszcze w tamsam miejscu, gdzie ją p. Roman pożegnał i to niespodziewane ukazanie się ciotki, spadło na nią, jak grom jaki. Spojrzała na nią przerażona, bo nigdy więcej nie potrzebowała być samą, nigdy więcej nie potrzebowała dać folgę ściśniętej piersi.

Ach! potrzebowała biedna i ująć sobie oburącz głowę, która pękała z bólu — potrzebowała ją ścisnąć mocno, mocno, gdy naraz usłyszała zapytanie pod którym drgnęła.

Co jej należało odpowiedzieć? Wpatrywała się w twarz ciotki przerażona, jakgdyby ujrzała ducha i szedł po niej jakiś dreszcz zimny, jakiego nie doświadczyła jeszcze nigdy: dreszcz trwogi, dreszcz ciężkiej, bolesnej bojaźni.

Dusza jej była mężna. Sierota zaprawiła się od lat dziecinnych do nędzy tego położenia, że uczucia swe musiała kryć, że musiała ulegać wtedy, kiedy cała jej istota stawiała dokonywanemu posłuszeństwu opór. Zahartowało ją to i kazało dojrzeć wcześniej, przecież dziś po przebytem przejściu ciężkiem, czuła się zesłabłą jak nigdy. Potrzeba jej było choć chwili—choć pół godziny, choć kwadransu jednego, aby mogła odpocząć, zachwycić w pierś brakującego tam powietrza, ale czyż życie nie jest od tego, aby uczyło pragnąć i nie otrzymywać? Ciotka stała w progu i wesóły jej głos zabrzmiał pytaniem, jakgdyby sądu ostatecznego.

Ona mogła skłamać, mogła odpowiedzieć: nie! ale ta myśl nie powstała jej w głowie, ani na jedno okamgnienie. Pobladła, patrzyła na ciotkę chwilę jakąś w milczeniu, ale potem odpowiedziała wyraźnie:—Tak...

— A... a—zawołała p. prezesowa radośnie — nakoniec się zdobył...

— Ale ty, coś odpowiedziała?—zapytała prawie zaraz, uderzona błądzą i i jakąś martwością wyprostowanej kibici biednej dziewczyny.

— Coś odpowiedziała? — powtórzyła patrząc jej ostro w oczy.

— Że nie jestem wolną... Że jestem już zaślubioną, że zadziernięty jest o serce, o życie moje węzeł, silniejszy, niż stuła, którą mi książd przy ołtarzu ręce związał.

— Co?—krzyknęła prezesowa—Co?... tyś śmiała to uczynić.

— Musiałam to uczynić. Innej odpowiedzi dać nie mogłam, bo inna odpowiedź by kłamała.

— Nieprawda... To to, coś odpowiedziała, jest kłamstwem, bo ja nie pozwolę ci na szaleństwo w którym niema ani szczypty zdrowego rozsądku. Chcesz być heroiną romansową...

— Chcę być uczciwą kobietą, ciotko—odparła Wanda głosem, który stał się uległym, proszącym. Chcę być uczciwą...

Osunęła się do nóg ciotki, objęła jej kolana, podniosła swoje piękne, łzami zalane oczy i błagała ją cichemi przerywanymi przez wzruszenie słowami:

— Już nie dla szczęścia mego, choć kocham, gorąco nad życie nie dla mego serca, które tyle zniosło, tyle przecierpiał, ale dla uczciwości, dla nie gubienia duszy mojej pozwól mi nie popełnić zdrady i przeniwierstwa!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Marca 1888 r.

Kaznodzieje wielkopostni.—Kazalnica a wierni. — Życie w kościele i poza kościołem. — Paryżcy poganie i wiara. — Koniec zimy i powrót do lepszych czasów.—*Alleluja!*—Polityka i skandale.—Śmierć cesarza niemieckiego. Nieporozumienia z Włochami.—Traktat handlowy.—Zerwanie. — Jeszcze sprawa Wilsona —Rozgrzeszenie w trybunale apellacyjnym.—Jeszcze Bułanżerówka.—Dymissya generała.—Upadek ministeru a.—Początek koła. — „Wolny Teatr.“ — Sprzedaż zpod młotki sprzętów po Maryi Régnault.—Skandal. — Śmierć p. Nisarda.—Szczegóły z życia uczzonego. — Nowy świat i nowa powieść historyczna: „Księżniczka Indyjska.“

Słyszeliście bezwątpienia o sławnych historykach, filozofach, mówcach, autorach dramatycznych i powieściopisarzach tutejszych; słyszeliście o sławnych malarzach i rzeźbiarzach francuzkich, jak słyszał onich świat cały!... Dlaczego? Trudno odpowiedzieć na to pytanie—pewna rzecz tylko, że główna przyczyna tego leży w języku. Że ten ich język wyprawny, zdaje się, nie mam potrzeby tego dowodzić tutaj; że ten język jest to moneta powszechnie przyjmowana, i że, z prze-

proszaniem, żaden *Volapük* go nie zastąpi,—to druga prawda; a trzecia, że ta moneta, mająca kurs wszędzie, to roznościel pojęć, myśli i utworów francuzkich po drogach całego świata, a nawet po jego bezdrożach.

Słyszeliście też i o sławnych kaznodziejach francuzkich. Nie mówiąc już o przeszłości niedalekiej, gdzie jaśnieje olbrzymia postać Dominikanina O. Lacordaire'a, musieliście słyszeć i o tym ojcu Dominikaninie, którego wymowne słowo—dziś—w tej właśnie chwili, gdy to piszę, rozbrzmiewa pod sklepieniem Najświętszej Panny Paryżkiej. Słyszeliście o O. Monsubré... Mówię, słyszeliście zdaleka; bo jeśli znacie waszych ulubionych autorów, mając ich książki pod ręką—o kaznodziejach tej chwili, wiecie chyba tylko ze słyszenia.

Słyszając o tak sławnych kaznodziejach, niemożliście niepomysleć o tych, do których zwrócone jest to wymowne słowo, ta budująca pobożnością i wiedzą nauka. Bo rzecz ważniejsza nawet, że oprócz tych apostołów Słowa Bożego, najwytworniejszej wymowy, w każdym kościele paryżkim, w czasie wielkopostnym — kazania i nauki udzielane są wiernym, każdodziennie i prawie bez przerwy—a wszędzie jest czego posłuchać. To też kościoły są przepelnione ludem. A w tym ostatnim tygodniu przed Wielkanocą, jeśli kaznodzieja ma wziętość i sławę, wtenczas już trudno się docisnąć do ambony. Prawda, że po większej części są to kobiety... ale nie braknie i mężczyzn. Są nawet pewne dni postu—szczególnie ostatnie, gdzie u Najświętszej Panny i w kilku innych kościołach... kaznodzieje wygłaszają swe nauki, dla samych tylko mężczyzn wyłącznie.

Musieliście więc nieraz pomyśleć sobie: że w tym tak osławionym, nowożytnym Babylonie, nietak szeroko złe musi królować, jak o tem powiadają ludzie. A jeśliście tak sądzili, mieliście wielką słusność; tylko, że ten Babylon,—to świat cały, a nie jakieś tam tylko miasto! Wszystkiego tu znajdziesz poddostatkiem; obok wielkiej cnoty, najczystszej wiary—spotkasz się ze zbrodnią, zepsuciem i niedowiarstwem, oburzającym swą nagością i wyuzdaniem!

Wogólności—dla tego, ktoby chciał sądzić z pozorów tutejszych ludzi, zawód może być niezmierny... Kiedy w świątyniach widzimy tłumy pobożne, kożdze się przed Słowem Bożem, na ulicach miasta—ani znaku niema tego, co pochłonęły kościoły. Wieczorynki, bale roją się wesołą gromadą. Stołom zastawionym suto nigdy nie braknie biesiadników; teatra są przepelnione widzami. Rzecz nawet warta uwagi, że Luty i Marzec—to najpopłatniejsze miesiące roku dla teatrów, takich nawet, jak Opera i Teatr Francuzki; przychodu dają często więcej nawet, niż Wrzesień i Październik — owe uprzywilejowane miesiące jesiennego sezonu. O kawiarniach i restauracjach niema nawet co i mówić. Szczęśliwy, kto znajdzie kąt wolny...

Cóż się więc dzieje z tym religijnym zapalem, z tą chrześcijańską skruczą—co się dzieje?... Oto dzieje się to, co widzimy na całym świecie. Jedni, najlepsi, czy najspokojniejsi, idą do Boga—a drudzy z dyablem na spółkę: „hulaj duszal...“ pędzą na złamanie karku. Jak dalece jest to prawda, że tu na bruku paryżkim wszystko się znajduje, niech posłużę za przykład to, co mi opowiadał kilka dni temu poczciwy i zacy nasz doktor S... mieszkający w dzielnicy Batiolskiej.

„Byłem—mówił mi—świadkiem dziwnej i wzruszającej ceremonii w miasta w kościele S-go Michała. Wychodząc po mszy, spostrzegłem w bocznej kaplicy zebraną dość liczną gromadę ludzi. Było tam ze dwudziestu młodych chłopców od 14 do 18 lat wieku. Stali około chrzcielnicy i otaczali księdza w komży, gotującego się widocznie do udzielenia Sakramentu Chrztu. Zdumiony i zaciekawiony, zbliżyłem się ku nim i po skończonej ceremonii, książd wikary, mój dawny znajomy, odpowiedział na moje zapytanie w następujący sposób: „Byłś pan świadkiem obrzędu, który nie jest bynajmniej wyjątkową rzeczą. Kapłani obsługujący parafie położone w podmiejskich dzielnicach, nie mają czego zazdrościć misyonarzom idącym w dalekie kraje nawracać na Wiarę Katolicką. Mamy tu w tym względzie ob-

szerną winnicę do uprawy. Widziałeś pan jeden z oddziałów, i to nie ostatni, nawróconych na wiarę Paryżanów. Są to biedne dzieci proletaryatu, złożonego z gałganiarzy i innych przemysłowców tego rodzaju, gdzie bieda fizyczna i moralna samowładnie panuje. Dzieci rosnał samopas, a od lat najmłodszych zaprzęzone do nędżnych rzemiosł rodziców — pozbawione są wszelkich umoralniających wpływów. My więc, kapłani parafialni, zbieramy to na śmieciach stolicy, nauczamy i, jak możemy, sprowadzamy na drogę prawdy i światła. Wkrótce będziemy mieli nowy oddział tych „Mohikanów Paryżkich.“ A jeśli Bóg pozwoli, to wytypimy z czasem pogaństwo w dzielnicy swojej.“

Czyż nie mówiłem wam, że tu jest wszystkiego pełno... A gdyby było można, oświecić jasno, to co się ukrywa w tych podziemiach społeczności tutejszej!... dopieroście zobaczyli i poznali, ile tu jest i jakich szczebli w tej drabinie, która łączy mroczne katakumby społeczności z najwyższym piętnem: intelligencji i wiary! Ale dosyć tych wielkopostnych relacji.

Jesteśmy w przededniu Wielkiej Nocy i wolę z życzeniem Wesółych Świątek powiedzieć wam wesołe „*Alleluja!* Zmartwychwstał Pan nasz! Zaprawdę zmartwychwstał“ i donieść wam, że ku wielkiej radości, zaczynamy wychodzić powoli z tej srogiej, długiej i nieznosnej zimy. Od kilku dni, choć przeplatana deszczem, wraca nam lepsza pogoda, słońce, choć chwilowo, częściej się nam uśmiecha. Tu też, na Palmową Niedzielę—kościóły i place przed kościołami były przepelnione ludem... każdy niósł w rękę poświeconą gałązkę *bukspanu*, który jako *semper vivum*, zastępuje tu palmy i nasze wierzbowe gałązki. Biedne wierzby tutejsze, pochowały przed zimnem swe pączki... ani się ruszą.

Po skończonych — jak wam mówiłem w ostatnim mym iście—skandalach procesu i potępienia Wilsona Paryż przeszedł nagle do niezwykle ważnych wypadków politycznych... Potrzeba było zresztą takiego faktu, jak śmierć cesarza Wilhelma, aby odwrócić uwagę Francuzów, chociaż na chwilę, od tego, co im najmilsze—własne wzajemne szarpanie się, skandale i brudy.

Śmierć Cesarza Niemieckiego, wyjazd z San Remo jego następcy, nadzieje i prognozy, jakie rozbudziły te wypadki, dawały czem zapełniać dzienniki—i było co czytać; ale sprawy zewnętrzne, jakkolwiek mogą być ważne, nigdy nie działają równie stanowczo, jak sprawy własne, wewnętrzne. To też i wypadek tej śmierci cesarza nie miał takiego rozgłosu, jakiego się można było spodziewać. Przyczyną może tego jest ta okoliczność—że póty, póki Bismarck stoi na nogach, stosunek Francji do Niemiec nie zmieni się wcale, gdyż główna nić przewodnia tej wielkiej sprawy, nieskończonej, zawsze pozostanie w temsamem żelaznym ręką!

Niedługo się więc bawiono niemieckimi sprawami; zastąpiły je wkrótce nieporozumienia włoskie, handlowe niby tylko — ale bądźcie pewni, brzemienne gromami. Dosyć może słusnie, ze swego punktu widzenia, Francuzi zarzucali Włochom ich sławne przystąpienie do potrójnego przymierza, które nie mogło rzeczywistość mieć nic innego na celu, prócz zahamowania francuzkiej swobody działania, w razie wypowiedzianej wojny na północy. Jakkolwiek można tłómaczyć tę sprawę z punktu widzenia włoskiego, jest to wszakże niezaprzeczoną rzeczą, że Włochy stanęły odkupione krwią i złotem francuzkiem. Zapewne, że wdzięczność—jest to jedna z cnót najtwardszych do spełnienia; ale przecież niewszyscy zważają na niej. Czy mogły Włochy nie przystąpić do potrójnego przymierza?... *That ist the question.*

I tem jednak niedługo się bawiono. Po dość kapryśnem zerwaniu traktatu handlowego z Włochami przeszliśmy do porządku dziennego, a tu na pierwszym miejscu znalazły się wypisane: sprawa w trybunale apellacyjnym Wilsona i rozpalenie się nanowo sprawy generała Boulanger'a.

Co do pierwszej, nadzieje opinii publicznej zawiedzione zostały haniebnie. Trybunał apellacyjny, fundując się na jakichś zasadach pra-

wnych, o których w przeszłym wspominałem już liście—uznał: że zważywszy to i owo, długa legenda wstępnych cytacji—że te wszystkie czynności Wilsona, nie zawierają w sobie dowodnych faktów oszustwa; że fakta wyżej wyrażone, nie podlegają żadnemu rozporządzeniu prawa karnego; że do sędziów należy, nie wydawać prawa, ale wydane aplikować w tej mocy, i że jest wyraźnie wzbrowionem rozciągać prawo karne do wykroczeń, które nie są tem prawem objęte: a więc co do Wilsona „Trybunał apelacyjny kassuje wyrok sądu Policji Poprawczej i uwalnia go od wszelkiej kary i odpowiedzialności...”

Tu dopiero mędrcy tego świata możecie zrozumieć: co to to jest sprawiedliwość a co prawo!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RUCH MUZYCZNY.

Hrabia Gustaw Plater, który od wielu lat otacza swoją opieką drużynę artystów teatrów warszawskich, i w tym roku chcąc przyjść im w pomoc, powziął myśl urządzenia wystawy muzycznej, z której dochód miał powiększyć fundusze kasy pożyczkowej wkładowej teatrów. Szczęśliwie powzięta myśl wydała znakomite materialne owoce, albowiem u nas wszelka nowość nieważna zazwyczaj powodzenie. Szkoda tylko, że inicjator tak chwalebne zadanie nie połączył celu filantropijnego z celem naukowym: jednoby drugiemu nie przeszkadzało, a wystawa stałaby się stokroć bardziej zajmującą. Mówiąc tu o stronie naukowej, mamy na myśli pewien ład i porządek, pewną logiczną systematyczność w ugrupowaniu przedmiotów wystawionych, jako to: instrumentów muzycznych, manuskryptów i portretów artystów kompozytorów, a to w tym celu, aby utworzyć w całości obraz rozwoju sztuki, oile byłoby to możliwym. Znać także, iż nie zwrócono uwagi na potrzebę zaprowadzenia ściślejszej kontroli w przyjmowaniu na wystawę przedmiotów, by przez to uniknąć strony humorystycznej tak często powtarzającej się przy naszych warszawskich wystawach, strony, która, niestety i na wystawie muzycznej znalazła swe, nie potrzebne, względnie.

I tak: na wystawie higienicznej widzieliśmy ozdoby z piór do sukien i kapeluszy oraz biżuterią talmigoldową; na wystawie tkackiej—fortepiany i organy, a na muzycznej—prywatne pamiątki i albumy, ptaszki automatyczne, tak dalekie od sztuki muzycznej, jak dalekimi również były biżuterie fałszywe od higieny, a organy od przemyślności tkackiego. Nie dość na tem: powstaje projekt zebrania portretów kompozytorów polskich, utworzenia z nich grupy fotograficznej, by każdy miłośnik sztuki krajowej mógł, niewielkim kosztem, posiadać wizerunki ludzi zasłużonych na tem polu; jakże jednak do tego się wzięto? Czy utworzył się jakiś specjalny komitet, do zebrania kompletnego materiału, lub sprawiedliwego ocenienia zasług danych osobistości?

Nie sądzimy; albowiem przyjmowano widocznie wszelkie fotografie ktokolwiek raczył je nadesłać, ztąd brak jest wielu zasłużonych jako to: Kozłowskiego, Franciszka Mireckiego, kompozytora oper, mszy i symfonii, oraz dzieł teoretycznych, Szopowicza, skrzypka i kompozytora, Padarewskiego, Biernackiego i wielu innych: a natomiast są tam portrety niepowołanych, którzy nie mają najmniejszego prawa do tytułu kompozytorów.

Jakież z tego rezultat? Ten, że nie wtajemniczonych wprowadza się w błąd, a znającym się na rzeczy nie dało się całkowitego zbioru, który miałby wtedy dopiero znaczenie milej pamiątki, gdyby był wiernym i kompletnym. Niech nam szanowny czytelnik wybaczy, że mówiąc o wystawie muzycznej, najpierw wykazaliśmy strony ujemne, słabe; jestto jednak bardzo naturalnem, albowiem wbrew przysłowiu, w obra-

zie przedewszystkiem dziury się spostrzega bez usilnego nawet ich szukania. Do stron dodatkowych zaliczamy przedewszystkiem ożywienie które wśród miłośników muzyki zostało wywołanem, zwrócenie uwagi na zabytki sztuki, na powiewające się wśród kurzu i śmiecia wyszłe już z użycia instrumenty, stare wydania, manuskrypty, o których może niktby nie pomyślał bez zachęty ze strony komitetu wystawy. Zebrało się też sporo tych zabytków, świadczących, że muzyka dawno już u nas kwitła. mając swych przedstawicieli w całym kraju. Bardzo ciekawej kolekcji instrumentów dostarczono z klasztoru na Jasnej Górze; oryginalnie też wyglądają antenaci naszych tegoczesnych fortepianów, rozmaitego kształtu orphiki o trzech oktavach, szpinety, klawikordy i clavicimbale z XV-o stulecia; patrząc teraz na nie, dziwimy się, jak można było grać na tak niedostatecznych instrumentach. Do rzadkości należy harmonium szklane, niegdyś własność F. Lessla; głos ma ono przenikliwy i smutny, działa podobno rozdrażniająco i szkodliwie na nerwy i wskutek tego wyszło z użycia; wynalazek jego przypisują Benjaminowi Franklinowi. Niepodobna wyliczać wszystkich przedmiotów bardziej interesujących, ograniczymy się więc tylko jeszcze na wspomnienie o pamiątkach pozostałych po nieśmiertelnym naszym mistrzu Szopenie. Oprócz fortepianu na którym grywał w ostatnich latach swego życia, niektórych mebli do niego należących, zegarków i t. p. znajduje się sporo listów jego i biletów; wszystkie te pamiątki są po większej części własnością pozostałej po nim rodziny.

Starych druków i manuskryptów najliczniejszy zbiór wystawili pp. Müncheimer i Alexander Poliński miłośnicy naszej starej literatury i znawca. W zbiorach ich mieści się wiele cennych dzieł z XVI i XVII stulecia: kancjonałów, psalterzy, antyfonarzy, tabulatur na organy i lutnię, pieśni Walentego Bekfarka, nadwornego muzyka króla Zygmunta Augusta, i wielu innych, których nazwiska, niestety, nie doszły nawet do świadomości ogółu. Gdyby tak grono miłośników muzyki, zachęcone zainteresowaniem się publiczności czasową wystawą, i widząc niemal bogactwo materiału, którego prawdopodobnie tylko część oglądaliśmy—gdyby, mówimy, chciałoby zakrzętać się nad utworzeniem stałego Muzeum z biblioteką muzyczną, do którego sposobem darów wpływałyby okazy, tworząc z czasem zbiór pokaźny i cenny dla ogółu, wtedy dopiero powiedzielibyśmy, że wystawa prawdziwie spełniła swe zadanie i wywołała fakt doniosłego znaczenia.

Teraz wypada nam nadmienić kilka słów o koncertach, które miały miejsce w ubiegłym wielko-pośnym sezonie.

„Lutnia“ wystąpiła z trzecim koncertem, zajmując słuchaczy poprawnym swym śpiewem, wraz z utalentowaną pianistką panną Wąsowską, którą śmiało można zaliczyć do najzdolniejszych elewek p. Schlötzer'a i największy przynoszących mu zaszyt. Następnie p. Sliwiński, pragnąc dać się poznać szerszym kołom naszego muzycznego społeczeństwa, wystąpił z koncertem po raz wtóry. W zeszłym naszym sprawozdaniu dość obszernie wyraziliśmy nasze zdanie o panu Sliwińskim, obecnie więc, nie chcąc się powtarzać, przejdziemy w przeglądzie do następnych koncertantów. Z kolei musimy zatrzymać się przed potężną nową siłą, imponującej techniki, którą włada p. Bolesław Domaniewski. Młody ten artysta, uposażony od natury bogato, stanął do walki z potworem co się zwie, z fortepianem, i zmógł go. A nie łatwe to w obecnych czasach zadanie; widzieliśmy i potężne organizmy upadające wobec pracy, móżącej się coraz bardziej w gonitwie wyścigowej—kto lepiej. Pan Domaniewski zadaje się, iż posiadał już wszelkie środki techniki gry; siła i wytrwałość jego zdumiewa, ponowanie nad instrumentem zupełne; lecz czy to dosyć? Sądząc z oryginalnych wyskoków jego, z fantazji w pojmovaniu dzieł wykonywanych, możnaby wątpić, czy koncertant równocześnie ze stroną techniczną kształcił też i duchową, estetyczną. Chłód, który wieje od odtworzonych dzieł, obojętność, w której słuchacza pozostawia-

spożytkowanie tyłu potężnych zasobów techniki, świadczą właśnie o braku poezji, uczucia,—słowem: ducha, któryby ożywił produkcje artysty. O grze p. Domaniewskiego, nie chcemy nie przesądzać na przyszłość; lecz teraz śmiało możemy powiedzieć że gra ta jako połowiczna, nie wystarcza nam, albowiem nie kieruje nią odpowiednio dostrójony umysł artystyczny.

Dla wynagrodzenia sobie zawodów w wędrówce naszej po ziemi, wzięliśmy teraz w świat poezji, gdzie natchnienie gości.

Mickiewicz, źródło niewyczerpane romantycznego pierwiastku w poezji naszej, pozostawił w dziełach swych skarby, z których muzyka bierze dotąd swe najwznioslejsze myśli i temata.

Moniuszko ugruntował sławę swoją kantatami: „Widma“, „Sonety“, „Twardowska“ Ież to pieśni natchnionych poezją Mickiewicza powstało! Żeleński odtworzył „Konrada Wallenroda“ pod wpływem potężnego pierwowzoru poety; teraz zaś i Noskowski z tegosamego źródła zaczerpnął swą „Switeziankę“.

Koncert kompozytorski Zygmunta Noskowskiego można nazwać powitaniem jednego więcej wspaniałego dzieła, które wzbogaca literaturę muzyczną naszego kraju. Uwaga wszystkich słuchaczy zwróconą była w niecierpliwem oczekiwaniu na część drugą koncertu, zawierającą pochlebnie przedtem już przez wtajemniczonych zapowiedzianą „Switeziankę.“ — Dzieło to, na którego wykonanie złożyły się: orkiestra teatralna, chóry mieszane Towarzystwa Muzycznego, chóry męzkie (Lutnia), i głosy solowe: (Sopran: pani Dobiecka i tenor pan Czernicki), rozpoczął wstęp orkiestralny uroczo instrumentowany, który od razu wprowadza słuchacza w świat nadprzyrodzony, w świat baśni. Noskowski stara się obrazowo illustrować muzyką momenta poezji, ruch fal jeziora uplastyczniony w orkiestrze cichym akompaniamentem smyczkowych instrumentów, oryginalnie i wytwornie pomysły; ukazanie się strzelca poprzedza myśliwska fanfara dętych instrumentów, charakteryzując postać bohatera; i tak każdy prawie z dwunastu numerów dzieła ma odrębny koloryt odpowiedni do chwili i akcji ballady. W całym też dziele przeważnie uwidatnia się refleksyjność i wyrozumowanie pomysłów; do prawdziwie cudnych i wzaiosłych momentów zaliczymy, oprócz wstępu, Aryę Strzelca (N. 2) Przysięgę (bez recitativa) (N. 4) Aryę Switezianki z chórem Switezianek (N. 7). Pozostałe numery, aczkolwiek mistrzowsko opracowane, nie noszą na sobie owego rysu, któryby znamiłował natychmiastowe powstanie całego pomysłu twórczego; nie czujemy tu owego technienia idei, która całość kompozycji ogarnia i czyni ją niewymuszoną, jednolitą. Są ustępy, jak np: Gonitwa (N. 5), które, arcypięknie opracowane, zachwycają *fakturą* swoją, lecz nie są zdolne utrzymać słuchacza w nastroju wyższym; słabnie złudzenie, podziwia się kontrapunkcistę i mówi „jakie to dowcipne“. Bądź co bądź, widzimy, iż twórca dwóch Symfonii i „Morskiego Oka“ przebudził się w tem wspaniałem dziele, zaprzeczając poniekąd tradycyjnemu orzeczeniu, że nawet i prawdziwe talenta marnieją w naszym kraju.

Teatr wystąpił z nowością, o której dawno już w prassie krążyły wieści; jest nią opera Massenet'a p. t. „Manon“. Treść, przykrojona do warunków sceny, zgrabnie została ułożoną w libretto przez państwa: Meilhac i Gille. Muzyka Massenet'a illustrowa ją wdzięcznie, zachowując charakter narodowy i dosyć właściwy epoce rozgrywania się dramatu, lecz nie obudza potężniejszych, imponujących wrażeń. Pierwszy akt, zapoznaje widza ze wszystkimi prawie osobami działającymi, jednakże mija dla słuchacza jako wstęp do czegoś, co nie przychodzi, albowiem ani *ensemble*, ani sola nie mają konturów jasno zarysowanych, lub świetnych momentów; wszystko jest trzymane w półcieniu, w którym wydaje się dość mdłym, a nawet cokolwiek zadługiem. Drugi akt już wiele więcej mieści treści muzycznej: śliczna scenka czytania listu przez de Grioux i Manon, następnie kwartet bardzo interesujący bo z wielką znajomością sztuki opracowany, a niezwykle oryginalny pod względem zestawie-

nia czterech osobistości, które działają każda w innym usposobieniu ducha, uwydatniając to w swym śpiewie, wreszcie pożegnalna, miłutka arija Manon do stoliczka, przy którym tyle miłych chwil spędziła. Akt trzeci, dwie odsłony; w pierwszej, muzyki znowu mało, pomimo że sytuacja sceniczna (kiemasz) bardzo podatną była do wprowadzenia bardziej okazałych *ensambłów*, autor jednak z tej sytuacji nie skorzystał; w drugiej odsłonie do bardziej zajmujących momentów należy: chór dewotek, charakterystyczny i nader zgrabny, acz niezmiernie krótki, arija p. de Griex ładna, pomimo pewnej napszystości, poważny i piękny chór kościelny za sceną, oraz, jako punkt kulminacyjny opery: arija Manon, którą panna Herman śpiewa z porywającą gorącością i wdziękiem. Akt czwarty i piąty słabną widocznie, pozostaje jeszcze tylko zręczny urywek pieśni żołnierskiej (chór) i duch końcowy pełen uczucia.

Streściwszy ogólne wrażenie nasze otrzymane po wysłuchaniu tej opery, można powiedzieć, że muzyka Massenet'a drobniawo wykończona i wygładzona w szczegółach, tak w partjach wokalnych, jak i orkiestralnych, posiadająca wiele wdzięku i elegancji, lekkości i dowcipu, serdeczności liryzmu nawet, do dramatycznej jednak treści libretta się nie wznosi dorównując mu potęgą i siłą.

Wystawienie opery pod kierunkiem dyrektora Adama Münchheimera pod każdym względem się powiodło. Solowe partie wypracowano *con amore*; szczególnie odznaczyła się panna Herman (Manon) która wykończony śpiew, umiała połączyć ze znakomitem pojęciem charakterystycznej swej roli.

Juljusz Stattler.

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Marcu 1888 r.

(Dokończenie).

Towarzystwo Przyjaciół Nauk, przymnażające wciąż zasobów i zbiorów, jest jednym dowodem więcej tej skrzętnej pracowitości, która wiarą w Boga, w przyszłość i w siebie zdobywa sobie najtrudniejszą nieraz wytrwałości cnotę. Świeżo wydany *Rocznik*, z portretem s. p. Stanisława Koźmiana, pięknie świadczy o wielostronności naukowych zabiegów, skupiających się w tem ognisku wiedzy i pracy. Tymczasem już i do przyszłego rocznika zaczyna się gromadzić plon wielce ciekawy i doniosłego znaczenia. Osobną ozdobą będzie większa rozprawa ks. D-ra Surzyńskiego, o historii polskiej muzyki w XVI i XVII wieku. Niejednokrotnie podawaliśmy już na tem miejscu odgłosy poszukiwań i zdobytych dokonanych w tym kierunku przez czcigodnego wydawcę *Monumentów* muzyki kościelnej w Polsce. Obecnie najnowsze jego badania pozwoliły mu nakreślić pełniejszy obraz tego nieznanego nam dotąd działu niwy umysłowej, tak bujnym kwiecieniem porosłej w złotym okresie dziejów naszych. Już w XV wieku znajdujemy ślady rozmówienia się Jagiellońskich Królów w muzyce. Jeśli Jagiełło zadawał sobie słowików śpiewem, to Jan Olbracht już i samąz ukochał sztukę, i jego też ojciec Henryk Fink, jeden z najślawniejszych kompozytorów owej epoki, zawdzięczał swe wykształcenie artystyczne. Ojcem jednak naszej muzyki kościelnej jest przedewszystkiem Sebastian z Fulsztyna, pierwszy profesor muzyki przy Wszechnicy Krakowskiej, wsławiony i własnymi utworami i wykształceniem dwóch większych od siebie muzyków: Marcina Leopolda, organisty nadwornego Zygmunta Augusta, oraz Wacława Szamotulskiego, którego wielce cenione przez współczesnych kompozytorów, dobiły się poczetnego miejsca w wyborowych niemieckich wydawnictwach owej epoki.

Nie wliczamy już wszystkich muzyków wspomnianych przez ks. D-ra Surzyńskiego, ponieważ niejednokrotnie przyszło nam główne ich nazwiska wymienić. Krytycy niemieccy, francuzcy i angielscy, poznawszy się z ich utworami, kładą naszych mistrzów na równi z Vittorią, Moralesem, Orlandem i t. p. Doniedawna wiedziliśmy zaledwie o istnieniu Mikołaja Gomółki, mając go za największego, a bodaj jedynego, muzyka polskiego. Acz przyszło mu stracić to wyjątkowe stanowisko, niemniej na osobną zasługuje wdzięczność narodu, dorobieniem melodyi do *Psalterza* Kochanowskiego. Nasz to Marcello, godzien i sławy nieśmiertelnej i niewygasłej miłości. X. Surzyński, przepisawszy cały ten psalterz z egzemplarza zachowanego w bibliotece Czartoryskich, zamierza go wydać nowszą notacją, tak, iż każdy psalm da się wygrać na fortepianie, czego próbki odebraliśmy już w dodatkach do czasopisma wychodzącego w Poznaniu p. t.: *Muzyka kościelna*.

Do zabytków muzyki polskiej z XVI wieku uczony jej badacz zalicza kancjonały protestanckie, polskie, z których wymienia siedm, i to Artemiusza, Andrysowicza, Siebeneichera, Nehringa, Seklucjana, Wierzbęty i Brzozowskiego. Pełno w nich odnaleźć można żywcem przyswojonych katolickich pieśni, z tem eklektyzmem religijnym, którym odznaczała się reformacja w Polsce. Serdeczne natury przodków naszych nie godziły się z wystudzoną formą nowego wyznania i, przyjmując je, wynosili i zachowywali szczątki katolicyzmu. Genewski reformator chyba nie poznał w nich swych duchownych synów i współwyznawców.

Drugi z kolei odczyt ks. D-ra Surzyńskiego, nie mniejsze wśród „Przyjaciół Nauk“ wywołał zajęcie. Po Okresie Jagiellońskim nastąpiła epoka Wazów, niemniejszych muzyki lubowników. To też wiek XVII przedłużał u nas złotą erę sztuki. Kapela Warszawska uchodziła za jedną z najlepszych w świecie. Ściągała ona do polskiej stolicy najprzedniejszych mistrzów włoskich. Koszta jej utrzymania rocznego dochodziła do 12.000 dukatów. Sam dyrektor pobierał tysiąc dukatów pensji. Największy z mistrzów polskich w tem stuleciu jest ks. Bartłomiej Pękiel, którego mszą niedawno wykonano w kościele uniwersyteckim S-tej Anny w Krakowie. Z utworów jego na szczególną wzmiankę zasługuje *Credo*, napisane na temat znanych dotąd kłopot polskich. Był on kierownikiem kapeli Władysława IV. Nie błyszczy Pękiel samotnie na widnokręsie muzycznym z owego okresu. Ks. Surzyński mnóstwo nazwisk i utworów wy dobył z kurzawy zapomnienia. Epoka klasyczna przeciągnęła się w Polsce dłużej, aniżeli gdziekolwiek, bo do połowy XVIII wieku. Zamyka ją ks. Gorczycki i ks. Maxylewicz, których czyste, pobożne i szlachetne natchnienie góruje prostotą i powagą nad psującym się ogólnie smakiem.

Nietylko więc w Polsce muzyka kwitnęła najpiękniejszymi dźwiękami, ale nadto najpóźniej uległa skażeniu, dziś zaś najspieszniej przystępuje do dzieła odrodzenia tak, iż względnie u nas najkrótszy okres czasu przypada na powszechne zoboczenie smaku i rozstrój ducha kościelnej muzyki.

Strzegły jej upowszechnione wśród ludu wspańiałe pieśni, a choć ogień, zniszczył niestety, choralne zabytki katedry poznańskiej, zachowało ich się niemało w Gnieźnie, gdzie obok pieśni S-go Wojciecha, śpiewanej codziennie na pierwotną nutę bojową, przy grobie naszego pierwszego apostoła i męczennika, znaleźć dotąd można liczne szczątki polifonicznych kompozycji ze złotego okresu. Szczególną wartość mają tamże przechowane po Klaryskach S-tej Jolanty pieśni pasyjne.

Ale i Wrocław i niektóre miasta niemieckie dostarczają zabytków polskiego natchnienia. Jagiellonki polskie snadź na obczyznę przenosiły upodobania rodzinne, ciesząc się może w smutnym życiu, niemilimi związkami przyćmionem, odgłosami zasłyszaniem w młodszych, szczęśliwszych latach. Wystarczy wspomnieć bezimiennego kompozytora, znanego pod mianem *Johannes Polonus*, który był kapelmistrzem na dworze

Jana Fryderyka, Margrabi Brandenburskiego. Ks. Dr. Surzyński zamknął swoje śliczne i zajmujące odczyty pochlebnymi słowami wielkiego niemieckiego krytyka Roberta Eitnera, który w czasopiśmie specjalnem zdając sprawę z wydawnictwa naszych monumentów, tak je w końcu ocenia: „Polscy kompozytorowie klasycyści, którzy dotąd nikomu nie byli znani, stworzyli rzeczy tak piękne, że Polacy także i na tem polu śmiało z każdym innym narodem mogą pójść w zawody. Z dotychczasowych odkryć ks. Surzyńskiego wykazuje się, że Polacy nie poszli ślepo za Niderlandczykami, lecz, podobnie jak Angliacy, głównie o dobre i przyjemne brzmienie się starali.“

Rozszerzyliśmy może nad zamiar i prawo przysługujące korespondentowi, odgłosy z dziedziny starej u nas muzyki, aleć to dla nas dotąd była „terra ignota“, a ks. Surzyński istnym Kolumbem, robiącym zaszczytne i zapóźnione odkrycia, że i tego głosu „nie brakło Polsce do chóru.“

Ostatni Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk zawiera między innymi i biografią Zbigniewa Oleśnickiego, nie kardynała, lecz imiennika jego i synowca, który był Arcybiskupem Gnieźnieńskim. Jeden to z żywotów składających się w pomnikowy ciąg i całość historii naszej prymasowskiej stolicy. Już siedm zeszytów monumentalnego dzieła ks. Korytkowskiego znajduje się w ręku czytelników, całość obejmie dzieje naszej starożytnej katedry od r. 1.000 aż do 1821. Oczywiście, praca ta rozszerza się w ogólną historią Polski. Początki wiary chrześcijańskiej i powstanie hierarchii katolickiej nie miały jeszcze u nas podobnego historyka. Upadają mianowicie mętne wiadomości o istnieniu licznych biskupstw, rzekomo przez Mieczysława erygowanych, których nie było wcale. Odtąd przewodnią historyczną prawdą będzie, iż prócz jednego tylko Biskupstwa Poznańskiego, w r. 968 na całą Polskę ustanowionego, nie było innych aż do r. 1.000, kiedy za rządów Bolesława Chrobrego Papież Sylwester II ustanowił Arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, z metropolitalną przewagą nad Biskupstwem Krakowskim w Chrobacy, Wrocławskiem na Ślązku i Kołobrzeskim na Pomorzu. Jurysdykcya biskupa poznańskiego sięgała zrazu na wszystkie mieszkowe dzierżawy, i ztąd też najstarsze źródła i zapiski zowią go „episcopus Poloniae.“

Prócz historycznych danych pełno tu ciekawych wiadomości do dziejów ekonomicznego i gospodarskiego ustroju dawnej Polski. Zdumiewa nas ogrom dochodów prymasowskich, przechodzący milion złp., gdy dziś arcybiskup gnieźnieński - poznański zaledwie otrzymuje pensję 12.000 talarów i wszelkie dyecezanalne zakłady i urzędy nadzwyczaj szczupłe mają zaopatrzenie. Smutne zestawienia i przyrównania nasuwają się same z siebie wobec wskrzeszonej umiejętną ręką ks. biskupa nominata Korytkowskiego wspaniałej przeszłości, kiedy teraźniejszość tak smutna i biedna, i chłodna....

Prócz zebrań poszczególnych instytucji do ożywienia miasta naszego przyczynia się w tej chwili obradujący dwudziesty czwarty sejm prowincjonalny Wielkiego Księstwa Poznańskiego, pod laską barona Unruh z Babimostu. Vice-marszałkiem pozostał jak na przeszłych sejmach, hr. Franciszek Kwilecki. Skutkiem zręcznego przykrojenia obwodów wyborczych, większość posłów niemieckich owiele przechodzi stosunek narodowościowy naszej prowincji. Ale od spraw lokalnych, toczących się w kole poznańskiego sejmku, powszechna uwaga zwraca się raczej w stronę Berlina, śledząc wielkie wypadki dziejowe, które się tam w ostatnich dniach rozgrywają, i mnożąc nadzieje, że nowy władca, którego pierwsze odezwy do ludów sobie podległych i kanclerza zapowiadają erę pokoju, sprawiedliwości i równoprawienia wszystkich poddanych, nie zechce trzymać nas w jarzmie owych wiekiuistych praw wyjątkowych, gwałcących sprawiedliwość i urągających ludzkości.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Andriolli** zamierza wykonać jeden jeszcze taki karton z „Pana Tadeusza,” jak „Koncert nad koncertami,” a ma to być: „Bitwa na podwórzu,” takich samych rozmiarów, jak wspomniany „Koncert nad koncertami,” który nabyła hrabina H. Andriolli ma zawarowane sobie prawo reprodukcji heliografiowanej, która zapewne okaże się bardzo pokupną.

— **Krwawy śnieg** spadł w powiecie Oszmiańskim d. 16 i 18 Marca po 28 stopniowym mrozie. Padał mniej więcej po pół godziny i pokrył ziemię w promieniu czteromilowym jakgdyby krwawą płachtą. Śnieg ten po zebraniu go w naczynie i stopnieniu, zostawił po sobie delikatny osad różowawy.

— **Korespondencja Kraszewskiego** obejmująca 30 tomów oprawnych i 57 nieoprawnych, a zawierająca razem 50,000 listów, została w imieniu rodziny ofiarowana Bibliotece Jagiellońskiej przez syna, p. Franciszka Kraszewskiego.

— **Muzeum krakowskie** otrzymało podarowany sobie przez p. Michałowskiego zbiór rysunków, składający się z kilku tysięcy niepospolicie pięknych i cennych okazów, przeważnie portretów, które niemal wszystkie dotyczą naszej historii i są dziełem Polaków.

— **Asnyk** wrócił z Algieru do Krakowa, po ciężkiej przeprawie z wybrzeży Afrykańskich do Marsylii, przy silnie wzburzonym morzu i walce przeciwnych sobie wicherów. Wiał *sirocco* i gwałtowny *mistral* i parowiec był co chwila zalewany przez wysoko bijące fale, przyczem żegluga, mająca trwać 24 godzin, przedłużyła się do 40, zwłaszcza, że maszyna statku została uszkodzona i niebezpieczeństwo stawało się groźnym. Drugiego wieczora bałwan zmył z pokładu jednego z podróżnych. Działo się to 17 i 18 Marca.

— **Więści o Stanleyu** brakuje ciągle, przecież korespondent angielskiego dziennika: *Pall Mall Gazette*, zapewnia, że opinia publiczna jest zaniepokojoną jedynie przez niewiadomość planów tego podróżnika. Korespondent, który jest w nie wtajemniczony i zna dobrze sprawy państwa Kongo, utrzymuje, że celem Stanleya jest nie tylko połączenie się z Eminem baszą, ale zdobycie krainy wielkich jezior, oraz zjednoczenie wszystkich plemion zwrotnikowej Afryki i utworzenie z nich państwa, hołdującego państwu Kongo. Byłoby to zniszczeniem handlu niewolnikami w jego głównym ognisku, zaszczerpieniem cywilizacji europejskiej w samym sercu Afryki, i urzeczywistnieniem marzeń nieszczęśliwego Gordona.

— **Zaginiony** podobnie i za nieżyjącego już uważany podróżnik afrykański, Belgijczyk, van Gèle, dał o sobie wiedzieć i w liście przesłanym rządowi państwa Kongo rozwiązuje zagadnienie, które od lat 17 żywo zajmuje uczonych geografów. Van Gèle puścił się w drogę w Październiku zeszłego roku, wypływając ze stacji *Aequator* na małym parowcu *En Avant* dla zbadania strumienia rzeki Ubangi i rzeki Uelle. Van Gèle puściwszy się w górę Ubangi, przebył szczęśliwie wodospad Zoungou i dostał się, wciąż po falach Ubangi, aż pod 22 stopień długości, sprawdzając przytem, że rzeka Ubangi i rzeka Uelle, stanowią jeden strumień, w który zlewają się pomiędzy 4-tym a 5-tym stopniem szerokości północnej i razem tworzą potężny dopływ rzeki

Kongo. Tym sposobem okazało się, że istnieje nieznaną dotąd, a 2,000 kilometrów długa, spławna droga wodna, wiodąca w głąb żyznych przestrzeni Niam-Niam, w głąb Egipskiego Sudanu.

— **Pływający teatr** buduje się w Nowym Orleanie połączonymi siłami kilku spekulantów. Ma to być ogromny pomost, rzucony na parowych, łańcuchami związanych ze sobą łodziach, a na nim wzniesiony gmach teatralny z drzewa, mogący pomieścić 900 osób. Wypływając z Nowego Orleanu, posuwać się będzie ten nowożytny lewiatan w górę rzeki Mississipi, zatrzymując się w portach Missuri i Ohio. Na mniejszych rzekach kursować będą mniejsze statki teatralne i tym sposobem zamierza przedsiębiorca zapewnić wszystkim miastom Stanów Południowych przyjemność widowisk scenicznych.

— **Pamiętniki Adelaidy Ristori**, który wyszły razem we włoskim, angielskim i francuskim języku, stanowią jeden nieduży tom i są pisane z wielką prostotą, z uczciwą czystością myśli i uczuć, ze spokojem niemal klasycznym. Taką, jak książka, jest i była zawsze kobieta sama. Wyposażona od natury wielką i bardzo szlachetną pięknoscia, wielkim i bardzo szlachetnym talentem, budząca namiętne uwielbienie tłumów, darzona wysokim uznaniem możnych tego świata, aktorka ta pozostaje zawsze taką, że najsurowsze wielkie panie, matki rodzin, przypuszczają ją do swego towarzystwa i przyjaźni, bo pozostaje z nimi zawsze na stopie równości kobiety uczciwej, której nikt nie mógł nigdy zarzucić najłżejszej płochości i wykazać skazy na osobistej jej godności. A przecież wychowała się niemal na deskach teatralnych, córka aktora i aktorki, wystąpiła na scenę — w trzecim roku życia, przedstawiając jakieś dziecko znalezione. Jednak nie samo zbliżenie się do sceny zdecydowało o jej powołaniu. Miało namiętne zamiłowanie sztuki teatralnej, ale sztuki poważnej, wysokiej.

Umysł też jest niepospolity. Z czasów tych, gdy już jako aktorka przybyła do Grecji i występowała w Atenach, znajduje się w *Pamiętnikach* karta pełna poetycznego zapału, pełna gorącego uniesienia dla przeszłości greckiej, która wykazuje zarazem znajomość historii i sztuki starożytnej — wykształcenie osoby, która musiała wiele czytać, uczyć się dużo.

Pamiętniki pokazują również uczciwe strony życia w rodzinie, wielkie przywiązanie do rodziców, męża, dzieci: nigdzie najmniejszego śladu cyganerii, szalu. Wszystko jest u niej pojęte poważnie, skromnie, z prostotą niezmierną, co jednak nie znaczy chłodu, martwoty uczucia. Było ono gorące i szlachetne, jak świadczy jedno ze zdarzeń jej życia.

Raz w Madrycie, mając wystąpić w teatrze i wiedząc, że królowa Izabella, więc dwór cały i wszyscy grandowie i grandessy będą patrzeć na jej grę i już ubierając się w garderobie teatralnej, usłyszała dźwięki dzwonka, odzywającego się na ulicy uroczyście, żałobnie, w sposób podobny jak w niektórych miastach Europy Południowej dzwonią, oznajmiając księdza niosącego wiatyk komuś, co umiera. Uderzona wrażeniem smutnem, zapytała garderobiannę teatralnej, czy to tak jest? i usłyszała odpowiedź, że istotnie ma ktoś umrzeć, ale śmiercią ciężką, nagłą, bo od kuli i członkowie Bractwa Miłosierdzia zbierają ofiary na mszę żałobną, która jutro odbędzie się w ich kościele, za spokój duszy rozstrzelanego. Żołnierz to był, nazwiskiem Chapado, który został skazany na śmierć za wykroczenie przeciwko dyscyplinie wojskowej. Sierżant uderzył go w twarz, a on porwał się na niego do szabli.

Ristori uczuła się silnie wzruszoną. Rola, sztuka i wszystko z tem połączone, uleciało jej naraz z pamięci, gdy w tem zapukano do drzwi i pokazało się kilka osób, kilku panów, przychodzących ją błagać, aby poszła prosić królową, która znajdowała się w teatrze o darowanie życia skazanemu. Był młody, został znieważony, krew uderzyła mu do głowy i oto ma teraz tracić życie śmiercią okrutną za jedną chwilę usprawiedliwionego uniesienia. Ristori się zmieszała, bo trzeba było działać przeciw Narvaezowi, którego dobrze znała, który głównie ściągnął ją do Madrytu i był jej opiekunem niejako, przecież serce kobiety uderzało boleśnie. Nie chciała przystać na intrygę pokątną, ale postanowiła działać jawnie, i poszła natychmiast do marszałka, który znajdował się w sali, prosząc, aby r. czył przyjść do niej. Narvaez uczynił to natychmiast, ale gdy usłyszał o co chodzi, sposepniał. Przed chwilą cała municypalność Madrytu błagała królowę o łaskę, a on głównie wpłynął na to, aby udzieloną nie została...

Ristori załała się łzami i marszałek zmieknął. Ponury, ale nie gniewny, nie sprzeciwiał się już temu, aby poszła prosić królową, co też stało się zaraz. W salonie, poprzedzającym lożę królewską, spotkała się z okrutnym widokiem: wynoszono na rękach zemdloną kobietę, siostrę skazanego, która rzuciła się do nóg królowej, błagając łaski — nadaremnie...

Plakali wszyscy, wkoło rozlegały się łkania i Ristori pisze, że dusiło ją wzruszenie. Teraz już nic nie byłoby ją wstrzymało, weszła, aby paść na kolana, a zastała królową Izabellę niemal omdlewającą. Była jeszcze bardzo młoda, parę lat dopiero po pójściu za mąż, leżała na szeslongu i zawołała na wchodzącą:

— Ach! pociesz mnie pani...

Lecz w miejsce pociechy została narażoną na nową walkę z sercem.

Przecież Ristori odniosła zwycięstwo. Przyzwany Narvaez, musiał się poddać również; królowa podpisała ulaskawienie, które Ristori uniosła z loży wraz z piórem, służącym do podpisu, a gdy potem wkrótce ukazała się na scenie, przyjęta została z zapalem szalonym. I ona sama go czuła, grała, jak nigdy, a potem napisała w pamiętnikach swoich, że był to dla niej wieczór pamiętny, wieczór najsilniejszego wzruszenia w życiu. Pióro królowej Izabelli zachowane dotąd, zostawi dzieciom na pamiątkę „najwyższego szczęścia, jakiego doznała ich matka.“

Obecnie Ristori mieszka w Rzymie, jest najlepszą matką i żoną, kobietą ogólnie szanowaną i do najwyższych sfer towarzystwa przypuszczoną, dla której królowa Małgorzata okazuje się bardzo łaskawą, co znaczy, że w życiu tej kobiety od młodości najpierwszej nie było żadnej skazy. Córka jej, już dorosła i tak piękna jak matka, jest jedną z najskromniejszych, najlepiej wychowanych panien w Rzymie.

— **Wieża Babel** mającą liczyć czternaście pięter a budującą się w Paryżu, aby stanowić jeden z okazów wystawy 1889 r., już została doprowadzoną do 100 metrów wysokości. Koszt budowy obliczony jest na osiem do dziesięciu milionów franków. Rząd dał subwencji półtora miliona.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 25-ty powieści pod tytułem: *Księżę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Pogawędka. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Nowiny paryżkie. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Korespondencja zagraniczna, Poznań (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 25-ty powieści pod tytułem: *Księżę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.